Nr. 1. Lwów, dnia 3. Stycznia 1869. **Rok I.**



PISMO DWUTYGODNIOWE.

Wychodzi w Niedzielę po 1. i 15. każdego miesiąca.

Prenumerata kwartalna w miejscu wynosi **30** ct.; z przesyłką pocztową **36** cnt.; numer pojedyńczy kosztuje **5** cnt. — **Prenumeratę miejscowa i inseraty** za opłatą **4** centów od wiersza (petitem) przyjmuje księgarnia pp. Seyfartha i Czajkowskiego, lub też redaktor Piotr Zbrożek Nr. 834¹/₄ przy ulicy Krzywej. — **Prenumerata zamiejscowa** przyjmuje się pod adresem: „Administracya **Rękodzielnika** we Lwowie pod l. 834¹/₄.“ Reklamacye nieopieczętowane wolne są od opłaty.

SŁOWO WSTĘPNE.

W obec rozwijającego się w kraju naszym życia politycznego, nie wolno nikomu pozostawać bezczynnym — owszem, każdego obywatela kraju najświętszym obowiązkiem brać czynny udział w pracy narodowej.

Naród, aby używał pomyślności u siebie, a poważania u obcych, powinien być silnym. Silnym może być Naród tylko wtedy, jeżeli posiada moralny i materyalny dobrobyt. Dobrobyt zaś narodu, zależy od dobrobytu jednostek. Zatem zależy na tem Narodowi, aby wszystkie warstwy społeczeństwa o ile możności zarówno były oświecone i równej używały pomyślności.

Atoli nikomu nie wolno spuszczać się na drugich, ale samemu należy się jąć pracy około własnego podniesienia. — Nadszedł więc czas i Rękodzielnikom Polskim pomyśleć o sobie, a oglądając się na to co się dzieje za granicą w tym względzie, postarać się o zajęcie podobnie poważnego stanowiska i we własnym narodzie. Z tego to powodu, rozpoczynamy Wydawnictwo niniejszego pisma, ażeby wyświecać wszelkie kwestje rękodzielników naszych dotyczące i obznajmiać ich z bieżącem, wypadkami polityki a zwłaszcza krajowej, zwracać baczną uwagę na rozwój stowarzyszeń rękodzielniczych i stosowne podawać rady, a śledząc rozwój przemysłu, obznajomić z najnowszymi wynalazkami; łącząc wreszcie użyteczne z przyjemnem, zamieszczać powieści, kronikę wiadomości miejscowych i zagranicznych.

O CECHACH.

CECH KRAWIECKI.

Któż nie wie, ile to pięknych wspomnień z dziejów naszych, łączy się z historją cechów. Każde większe miasto polskie, ma jeszcze po dziś dzień ulice i place ponazywane podług pojedyńczych cechów. Na tychto miejscach miały one bądź to swoje gospody, bądź też obowiązane były bronić je podczas napadów nieprzyjacielskich. To też rękodzielnicy nasi szanują te dawne swoje dzieje, chętnie o nich rozmawiają, a kiedy nieraz stary majster rozgada się o dawnych czasach, o przywilejach i o bogactwach jakie posiadał cech jego, to i łzę ujrzysz w oku jego, a na usta cisną mu się słowa żalu i gniewu na tych, którzy znieśli dawne prawa i ustawy cechowe. Łza taka warta poszanowania, boć każdy człowiek winien kochać przeszłość swoją, a jak mówi przysłowie: „zły to ptak, co własne kala gniazdo.“ Kochajmy dziedzictwo ojców naszych, ale to co jest w niem złem i dzisiejszym czasom nie odpowiedniem, starajmy się zmienić i naprawić. Świat postępuje naprzód, rozwija się przemysł i handel, a w obec dzisiejszych stosunków cechy, nie mogłyby się długo ostać.

Każdy rzemieślnik może dziś otworzyć warsztat, gdzie chce. Przyszłość swą ma każdy w własnym ręku. Rękodzielnik pracowity i słowny, który daje towar dobry a tani, dorobi się zawsze majątku.

Zniesione cechy zastąpmy stowarzyszeniami, Stowarzy-

szenia zaliczkowe, wyciągną naszych rękodzielników z rąk lichwiarzy. Stowarzyszenia konsumcyjne, dozwolą im kupować żywność po tanich cenach, a Stowarzyszenia w celu wspólnego zakupna potrzebnych do produkcyi materyałów dokonają dzieła. Klasa rękodzielnicza odzyska dawne bogactwa, a co więcej wywalczy sobie odpowiedne stanowisko w narodzie, jak to się już stało w krajach zachodnich.

Wracamy jednak do opowiadania historyi cechów.

Urządzenia cechowe dostały się do Polski z Niemiec. Przynieśli je majstrowie niemieccy, którzy uciekali z własnej ojczyzny przed wojną i połączonemi z nią bezprawiami. Osiadali oni w wielkiej liczbie po miastach naszych, a wszędzie zaprowadzali podobne zwyczaje cechowe, jakie mieli w niemieckiej swojej ojczyźnie. Potomkowie ich, chociaż już Polacy, trzymali się ściśle zwyczajów ojcowskich. Co było z początku tylko zwyczajem z czasem stało się prawem, któremu każdy rzemieślnik musiał być posłuszny. Prawa te jednak stały się później bardzo srogie, za małe przewinienia karano śmiercią, a sędziowie dopuszczali się takich okrucieństw, że król Władysław Jagiełło nakazał zniesienie cechów. Kiedy później za staraniem, i w skutek nakazów magistratów miejskich zniesiono owe srogie prawa i okrutne sądy, bractwa cechowe rozszerzyły się po wszystkich miastach polskich, a królowie polscy nadawali im nowe przywileje lub zatwierdzali dawniejsze.

Tak też i cech krawiecki we Lwowie, otrzymywał różne przywileje. Król Zygmunt I. potwierdził istniejące już prawa tego cechu. Nie wolno było nikomu szyć sukni, ktoby nie należał do cechu, a krawiec, który za zdolnego do prowadzenia tego rzemiosła był uznanym, musiał w każdem polskiem mieście gdzie warsztat otworzył, być za krawca uznanym. Starsi bracia mogli sami karać zarobkujących po przedmieściach, w czem im miał magistrat dopomagać. To są główne punkta przywileju Zygmuntowskiego. Syn Zygmunta I. Zygmunt August, wstąpiwszy po ojcu na tron polski, nadał podobny przywilej cechowi krawieckiemu w naszem mieście. Zakazuje on w niem, aby żydzi nie przeszkadzali krawcom i kuśnierzom — oba te cechy były bowiem połączone. Nie wolno było też nikomu nowych sukien potajemnie sprzedawać, ani mieniać. Późniejszy nieco przywilej króla Stefana Batorego, potwierdza wszystkie prawa i przepisy, tudzież zwyczaje przy wyzwoleniu i uzyskaniu majsterstwa.

Nikt, mówi przywilej Batorego, nie może ani w mieście, ani na przedmieściu lub przyległych wioskach krawiectwem się zatrudniać bez zezwolenia cechu. Majstrem może być tylko ten krawiec, którego starsi bracia majstrem uznają.

Nim majstrem zostanie, musi zrobić sztukę tak zwany po niemiecku majsterstück, i złożyć pewną kwotę do wspólnej skarbony cechowej. Starszyzna sądziła majsterstück, a nowo przyjęty majster, sprawiał potem dla braci sutą ucztę. Po śmierci majstra wdowa może dalej prowadzić rzemiosło. Gdyby zaś powtórnie wyszła za mąż, w takim razie drugi mąż zostawszy majstrem, mniejszą składa kwotę do skarbony cechowej, a uczta może być o wiele skromniejszą. Uczty te bywały przed rokiem 1838 bardzo wystawne, i przechodziły aż w zbytek. W celu usunięcia tego zbytku, postanowił magistrat, aby nie ucztowało więcej nad szesnaście osób obojga płci, a sprawiający ucztę nie mógł dawać więcej nad cztery półmiski, a to pod karą szesnastu grzywien. Zygmunt III, potwierdził prawa i przywileje przez swych poprzedników cechowi krawieckiemu nadane. Najważniejszym jest niezawodnie, przywilej nadany przez Władysława IV. Zawiera on bardzo dokładne przepisy jak się należy zachować przy różnych cechowych uroczystościach. Wielka szkoda, że przywilej ten mocno jest uszkodzony i nie wiele z niego można wyczytać. Między innemi postanawia on także, że odtąd majstrom nie wolno więcej zatrudniać jak dwóch czeladników i jednego ucznia. Rozporządzenie to bardzo było niestosowne, odbierało bowiem majstrom możliwość rozszerzenia swego warsztatu i przysporzenia sobie zarobku. Również niekorzystnem był też ten nakaz i dla czeladzi bo z trudnością było wynaleść zajęcie.

Dalej określa przywilej ten wyraźniej to, co już zawierał przywilej Batorego, mianowicie przepisy co do dalszego prowadzenia rzemiosła przez wdowy po zmarłych majstrach. Wdowie wolno było jak dawniej prowadzić rzemiosło krawieckie, ale bracia cechowi dodawali jej do porady jednego z czeladzi, który obejmował kierunek nad warsztatem. Zwał się taki czeladnik zarządzający warsztatem wdowy wermistrzem.

Nakoniec powtarza przywilej Władysława IV, to samo, co już dawniejsze przywileje postanowiły, znów bowiem nakazuje najostrzej, aby szyciem sukien nie trudnił się nikt inny, prócz należących do cechu. Zarobkujących pokątnie partaczów pozwala karać, a magistrat winien cechowi w wyszukiwaniu i karaniu takich partaczów ile możności pomagać.

Jak każdy cech tak też i cech krawiecki rozróżniał trzy stopnie: majstrów czyli braci cechowych, czeladź wyzwoloną czyli towarzyszy, i uczniów.

O prawach i przywilejach majstrów mówiliśmy już powyżej. Uczniowie żadnych nie mieli praw. Towarzysze czyli czeladnicy mieli swą wspólną skarbonę, a z składek wpływających do tej skarbony, utrzymywali gospodę. W niej to odbywały się ich narady, ona też była przytułkiem dla wędrownej czeladzi. Widzimy więc, że i między towarzyszami była pewna łączność i wspólność.

Pożycie w cechu krawieckim nie zawsze było zgodne. Między majstrami a czeladzią, częste zachodziły sprzeczki. Przyczyną tych zatargów była chciwość majstrów, którzy od ustanowionej wspólnie w cechu płacy dla czeladzi odstąpić nie chcieli, a ustanawiali ją zbyt szczupłą; poniekąd zaś i swawola młodych towarzyszy. Podobny spór o płacę powstał w r. 1507. Czeladź naradziwszy się wspólnie w gospodzie, postanowiła opuścić swych majstrów. Zmowa taka bardzo wielką wyrządzała szkodę majstrom, naraz bowiem w całym mieście dla braku rąk ustawała robota krawiecka. W nocy zebrała się cała czeladź w umówionem miejscu, i pokryjomu wyruszyła ze Lwowa. Spostrzegła tę ucieczkę nocna straż miejska i zabiegła uciekającym drogę. Czeladź nie chciała powracać, przyszło więc do bójki. Straż miejska nosiła jako broń cepy, przy cepach tych bijak był spiczasty, żelazem okuty, a do tego ostremi żelaznymi kolcami najeżony. Towarzysze nie będąc uzbrojeni, nie mogli długi czas stawiać oporu, kilku zabito, reszta uciekła. Zabitych pochowano w miejscu gdzie dziś kościół św. Anny, tam bowiem bitwa ta zaszła. Po kilku latach cech postarał się, aby nie chowano więcej nikogo na tem miejscu, a cmentarz kilku tych nieszczęsnych czeladników nie stał się cmentarzem

powszechnym. Nie długo później bractwo dostało drzewo z lasu miejskiego i wybudowało na pamiątkę poległych mały kościółek, a gdy ten kościółek przez oblegających nieprzyjaciół spalony został, cech znowu go odbudował częścią z kamienia częścią z drzewa. Tak dzisiejszy kościół św. Anny winien swój początek temusmutnemu wypadkowi wynikłemu ze sporu w cechu krawieckiem.

W Polsce bardzo mało było wojska utrzymywanego kosztem państwa, załogę miejską tworzyli sami mieszczanie, a w skład jej najwięcej wchodziło rzemieślników. Każdy cech miał swą basztę do obrony; cechowi krawieckiemu oddano basztę nad bramą halicką.

Przed wynalezieniem prochu, używano do obrony murów maszyn służących do rzucania kamieni i innych pocisków na nieprzyjaciół: i tam to młodzież czeladnicza krawiecka dzielnie nieraz broniła miasta od napadów nieprzyjaciół. Tak jeszcze w roku 1408 postanowiono, aby każdy cech sprawił swym kosztem po jednej maszynie do obrony baszt. Około roku 1450 zaprowadzono towarzystwo strzelców, gdzie się mieszczanie lwowscy ćwiczyli w strzelaniu. Na ćwiczenia przeznaczono pagórek przyległy miastu. Tam zatykano żerdzie, a na ich wierzchołkach stawiano koguta, do którego strzelano. Trafiajacy otrzymywali nagrodę, chybiający karę. Kto strącił koguta z żerdzi, zostawał królem kurkowym. Później przeznaczono na ćwiczenia strzeleckie miejsce, gdzie dziś ulica Ormiańska, a kiedy cechy miały się ćwiczyć w strzelaniu z dział, przeznaczono na to obszerne błonie nazwane dziś „na rurach.“ Do tych różnych ćwiczeń w strzelaniu należał między innymi cechami także i cech krawiecki. A nabyta tam wprawa często była potrzebną, bo o Lwów jako o miasto bogate i stolicę Rusi Czerwonej, kusił się każdy nieprzyjaciel, co wkraczał w granice rzeczypospolitej polskiej. Często też przodkowie nasi, rzucać musieli spokojną pracę w warsztacie, aby biegnąć na mury i baszty miejskie i ztamtąd bronić rodzin swych, kościołów i ognisk domowych. (c. d. n.)

RAZEM.

(*Powieść.*)

I.

Po bitym gościńcu z Poznania na Kostrzyn, Wrzeszno i dalej ku granicy Królestwa Polskiego wiodącym, pruski wóz pocztowy się toczy, pomijając w bystrym biegu sioła nasze, lasy pełne szumu liści jesiennych, i bogate w lecie, a teraz nagie pola.

Dwóch podróżnych siedzi w powozie, i co chwila spozierając przez okna, żywą prowadzi rozmowę. Jeden z nich młodszy, żywszy, przystojny mężczyzna, ot lat mogący mieć ledwie dwadzieścia siedm lub ośm, z uprzejmością rozmawia z poważnym, znacznie starszym towarzyszem podróży, i stara mu się chwile nudnej drogi ukrócić. Wyjrzał raz przez okno i odezwał się:

— Przecież raz u kresu jesteśmy, — za małe pół godzinki staniemy w miasteczku, — już wieżę naszego kościołka dobrze widno.

— Dla ciebie drogi panie Władysławie to radość prawdziwa; po tylu latach ujrzysz twoich, zobaczysz rodzinę, uradujesz się, a mnie starego jak zawsze pustki zastaną.

— Ej nie wielka tam mię radość czeka, ojciec zda mi się biedny, bo choć nigdy się w listach nie wynurza, to tylko, by mię nie smucić, ale przecież zda mi się, że nie zasobno tam u niego. Ot, nawłóczyłem się po świecie, z biedą w początkach, uczyłem się po pierwszych majstrach mego zawodu, i nie źle mi się wiodło, a przecie zatęskniłem do tej serdecznej ziemi naszej, — uciułałem trochę grosza i wracam by tu w tej lichej, małej, ale ukochanej mojej mieścinie dałoj żyć i naszym chlebem się karmić. Nie wiem nawet jak mię przyjmą po tylu latach, — ale pracować zacznę, bo przecież po to tak długom w świecie biedował, tylem miast przeszedł, aby zobaczyć jak też gdzieindziej postąpili w naszym zawodzie, i te korzyści kiedyś do kraju przynieść i dla kraju zużytkować.

— Bardzo pięknie, panie Władysławie, — tylko w ten sposób u nas przemysł i rękodzieła podnieść się mogą, — jeżeli poznamy o ile obcy nas wyprzedzili, co dobre od nich skorzystamy, a dodawszy do tego rzetelną naszą polską pracę, u nas, na naszej ziemi wyrabiać będziemy.

Dalej podobnie toczyła się rozmowa; my zaś tymczasem uprzedzimy naszych podróżnych i zajrzyjmy do miasteczka.

Schludne to miasteczko, jak prawie wszystkie w Poznańskiem, — ale niestety i tu jak wszędzie Niemcy się rozgnieździli i rozgospodarowali na dobre. Idziesz gdziebądź ulicą, napis niemiecki na sklepie, i jakieś na godle nazwisko, że i przeczytać i spamiętać poczciwemu człowiekowi trudno. Ot, wzięli się Niemcy po kieszeniach, z niczem przyszli, a jak się podorabiali, jak popanoszyli, aż smutno; bo niechby tam sobie jeden i drugi, ale nas ci oni zepchnęli, przewyższyli nas i pracą i wyrobem, a my się im zepchnąć dali, podupadaliśmy i w kąt prawie poszli. Tak też i w naszem miasteczku, Było ono sobie, ot tak niby Kulików u nas w Galicyi, tylko trochę większe, — prawie przez samych szewców zamieszkałe, co poczciwie pracowali i towar swój sławny dawniej daleko rozsyłali. Aż oto niemcy przyszli zazdroszcząc powodzenia, osiedlili się, — zaczęli sobie z garbarniami na dobre się porozumiewać, skórę daleko taniej bo hurtownie i wprost kupowali, i w krótkim czasie polscy szewcy dali im się wyrugować i podupadli zupełnie. Nasza wina była, bo trza było także się wziąść do tego dzieła i nie dać obcym wyprzędzić.

I tak, najzamożniejszy niegdyś w miasteczku szewc, Mateusz Zrębski, podupadł zupełnie, z głównego rynku, gdzieś aż na przedmieście się sprowadzić musiał. Tu wywiesił na małym domku jako godło polski but, i dalej biedził się, żeby tylko jakoś dalej, wciąż się pocieszając, że przecie kiedyś syn powróci i jemu ma starość zginąć nie da. I tak biedaczyna z dnia na dzień marniał, aż posiwiał, — całą tylko miał pociechę, gdy się zeszedł z dawnym przyjacielem Tomaszem, i gdy sobie pogadali. Pan Tomasz Skalski, był to typ prawdziwy dawnego szewca polskiego. Barczysty, silny, dziś trochę szpakowaty już, ale mina gęsta, przez twarz kresa szeroka, — co to jeszcze z 1831 roku pamiątka, o której pan Tomasz chętnie rozprawiał. Bo trza nam wiedzieć, że przeszłość miał burzliwą i piękną. Mając lat ledwo ośmnaście, uciekł od majstra i do-

powstania się przyłączył. Był pod Sielcami, pod Ostrołęką, pod Białą, w wszystkich bitwach się odznaczył, — pod Wawren. ranny przeleżał parę tygodni, wyzdrowiawszy, znów się znalazł w obozie, aż w końcu przy upadku sprawy, gdy Warszawę wzięto, i on podzielił wspólny smutny los wszystkich, i pod jenerałem Rybińskim przeszedł do Prus. Nieszczęściem przy składaniu broni w ręce Prusaków jakiś znajomy go zdradził i p. Tomasz w ten sposób do więzienia się dostał. Z tąd wyszedłszy dopiero się biedak troszczyć zaczął, bo wszyscy wprawdzie chętnie opowiadań jego słuchali, ale żaden szewc przez długi czas z bojazni prześladowania Prusaków wziąść go i wyzwolić nie chciał. Szczęściem pojechał do pobliskiego miasta odwiedzić krewnych, i tu dawny przyjaciel ojca przyjął go, wyzwolił, dopomógł, a nakoniec i z swą córką ożenił. Wtenczas pan Tomasz przeniósł się do rodzinnego miasteczka, osiadł i przy pomocy bożej rozgospodarował na dobre. I wiodło mu się. Na potomstwie Bóg go nie wiele pobłogosławił, urosła mu tylko jedna latorośl, córeczka nadobna, i ta z czasem prawdziwą pociechą i szczęściem mu się stała. Pobratał się i poznajomił z całem mieszczaństwem, od wszystkich ceniony i poważany jako niegdyś dzielny żołnierz i obrońca Ojczyzny, a dziś poczciwy i pracowity rzemieślnik, i do pracy i do porady i do pomocy równo skory. Otwarte serce i dłoń poczciwa, zarówno otwarta dla wszystkich. To też wiodło mu się przez lat nie mało. Aż wspólne opowiedziane przedtem nieszczęście i jego razem z innymi dotknęło. Podupadł i ogołocił się, — aż w końcu na nieszczęście popadł w nałóg, który ostatki mu pochłaniał i zupełną zagubą i ruiną groził.

Otóż z tym panem Tomaszem w ścisłej żył zażyłości nasz Mateusz. I dziś zatęsknił za dawnym przyjacielem i poszedł go szukać. Nie znalazłszy go w pracowni, poszedł do znanej piwiarni, zwykłej wieczornej siedziby pana Tomasza. Tu go zastał juz za stołem, rozprawiającego z kilkoma mieszczanami, i mocno nabuńdziuczonego. Znać dobre niemieckie piwko już swój wpływ wywarło na skołatanej głowie pana Tomasza. Przywitali się, — postawiono nowe kufelki, — i poczęła się poufna pogadanka.

— Ot wiecie co panie Tomaszu, tu mój Władek przyjeżdża temi dniami. Pisałci do mnie już z Berlina, z drogi, i niezabawem chłopca powitam.

— Daj wam Boże panie Mateuszu, wiecie, że wam zawsze dobrze życzę, — i wam pomoc będzie; czy też tylko nie zhardział, bo to przejść musiało i Niemcem i Francuzem, i powstydzi się swych uczciwych znajomych.

— Ej, nie tak to będzie źle, — wszak ci o mnie nigdy nie zapomniał, a znajomych zawsze mile wspominał i do nas tęsknił. Bywało co zaoszczędzi to mnie przysyła, choć Bóg świadkiem nigdym go nie prosił, i o mej biedzie nie wspominał nawet w listach.

— Bodajto jak dobre dzieci, — ot i moja Anusia — wiecie moje nieszczęścia, — i bieda i chłód i głód dojmie, a ona ani się skrzywi: cały obraz nieboszczki mej żony, Biedaczka nie raz się kłopocze, zkądby to i tak co załatwić, bo już co bieda, to taka serdeczna u nas.

— Ej, bo też przecieby tak źle nie było, przerwał Mateusz, kiedy bo byle grosz, to i zaraz go tu przeniesiecie i tu tonie.

— Darujcie bo panie Mateuszu, kiedy to jak nas tak Niemcy opętali i wszystkiego pozbawili, to co mi tam, niech i resztę biorą. Ot zobaczę którego, a on puszy się i niby wyraźnie nakpiwa, to mnie aż chętka bierze i wytrzymać nie zdołam, — ot tu się człowiek rozgada, napije się trochę, to i zapomni na chwilę.

— A tam doma, panna Anna kłopota się i biedzi,.....

— Oj co jej, to jej jednej żal mi tylko, — żeby to człowiek sam na świecie, — a tak ona przytuli i zaśpiewa, choć głodna nieraz, aż mi serce pęka, tak jej los marnieje, — i szkoda dziewczęcia. A do tego ten urzędniczyna niemiec ją nawiedza, — ona go i na oczy nie może, — co moment to pod okno mi łazi i zagląda, to niby za interesem wejdzie, — a teraz to już tak i na dobre się ośmielił, że biedne dziewczę spokoju niema. Mnie aż chętka bierze wytartarować mu skórę kiedy, ale cóż wpakują do kozy za to, a Anusia dopiero sama zostanie na jego prześladowanie.

— Ot co tam panie Tomaszu, — zdaje mi się, że to przecie Bóg nasz miłościwy o nas nie zapomniał jeszcze, jeno tak doświadcza raźno. Przecie to nam gwiazda jeszcze zabłyśnie i lepiej będzie. I wy waszego niemca zbędziecie szczęśliwie, i mnie też przy synu inna dola będzie. Dziesięć lat jak wywędrował, to to strach jak dawno, chłopczyna to jeszcze była, a teraz to musiał mi zmężnieć i odmienić się, a takie to poczciwe, takie to nieodrodne to dziecko moje. Oj będzie radość, będzie.

Tak pocieszali się obaj majstrowie, i spijali piwko niemieckie, lepszej oczekując doli.

II.

Tymczasem nasi podróżni zajechali do miasteczka. Starszy jegomość przesiadł się do oczekującego go powozu, pożegnał przyjacielsko młodszego i odjechał. Młodszy Władysław puścił się wśród zmroku ku rynkowi, ku dawnemu ojca pomieszkaniu. Przystanął; na próżno przy blasku latarni szukał napisu, — dziwne myśli go opadły, wypytuje ludzi z kamienicy, i od nich dopiero dowiaduje się, ze ojciec podupadł, i aż na przedmieście się wyprowadzić musiał. Żal mu ścisnął serce i chwiejnym krokiem puścił się ku wskazanej ulicy. Ojca nie zastał w domu, stara służąca powiedziała mu, że się udał do przyjaciela, do pana Mateusza, i pokazała pomieszkanie tegoż tuż w sąsiedztwie. Niecierpliwy Władysław natychmiast tam poleciał. Wchodzi do pokoju, — niezastaje i tu ojca, ani pana Mateusza, którzy obaj podtenczas jak nam wiadomo przy piwku gawędzili. — Ale natomiast ujrzał Annę, córkę pana Mateusza i przystanął na jej widok. Ta Anna, którą zostawił dziecięciem prawie przed dziesięcią laty, ani do poznania, tak wyrosła i rozpiękniała. Spojrzeli po sobie i nie poznali się. On dziś przystojny mężczyzna, — ona z dziewczęcia małego, dziewica smukła, w pełni wdzięku i krasy.

— Czy tu mieszka pan Tomasz Skalski? zapytał Władysław niepewny.

— Tak jest, aleś pan ojca mego nie zastał, odpowiedziała w pół ciekawie, w pół nie śmiało dziewica.

— Ach! to ojciec pani, — a ja pani nie poznałem, — i pani mię nie poznała po tylu latach. Wszak panna Anna, wszak dziećmiśmy się bawili, — a teraz i nie poznali nawet

Pokraśniała Anna na te słowa i nie śmiało odrzekła:

— To pan Władysław! — mój Boże, jak się ojciec ucieszy po tylu latach niewidzenia, gdy pana zobaczy. On często o panu wspomina, jak o własnym synie, tak pana lubi.

— Daruj mi pani, alem dopiero co przyjechał, myślałem, że mego ojca tu zastanę, bom go dotąd i niewidział jeszcze, a gwałtem mnie do niego ciągnie i porywa.

— Był tu pan Zrębski i obaj z moim ojcem poszli a dokąd niewiem, -- i rumieniec ją oblał.

— Ha, daremnie, to czekać muszę — choć nic a nic nie wiem jak mu się powodzi, bo o tem nigdy w listach nie pisał, dopiero przybywszy dowiedziałem się, że z miasta aż tu się wyprowadził. Czy tak biedny, lub co za przyczyna, powiedz mi pani na miłość Boga?

— Smutna to historya, ale kiedy tak, to już pana uprzedzę chyba, nim pan ojca zobaczy. Widzisz pan, jak zaczęli Niemcy się sprowadzać z Berlina i innych miast, tak i nasi zubożeli i podupadli. Tak też i pański ojciec,..... ot co mam zakrywać i mój ojciec, obaj podupadli.

Zadumał się przez chwilę na to smutnie Władysław, żal mu się bardzo zrobiło, i wyrzekł:

— A mnie tu nie było, — jam go ratować nie mógł, a on może w niedostatku, — może w nędzy. — Nie, nie, zaraz go widzieć, odszukać, przytulić muszę! Dziękuję pani,... i żegnam panią.

To mówiąc wyleciał na ulicę, a Anna zamyśliła się, i półgłosem rzekła sama do siebie: "Co za syn dobry z niego... szczęśliwy ojciec, choć taki biedny!

Zaledwie odgłos kroków Władysława ucichł na ulicy, aliści inne znów odwiedziny otrzymała Anna. Stuknęło coś do drzwi, i zaraz wtoczyła się mała pękata figurka na krótkich nogach cała w ukłonach. Niepoczesny to człowiek, ot Niemczyna, w surduciku, pluderkach wązkich, na nosie okulary, z pod których patrzały i złośliwie się uśmiechały małe, bure i kocie oczy. Wsunął się do pokoju, ukłonił, i poufale przywitał:

— Guten Abend, dobry wieczór panna Anetka.... całuje nóżki.... i zaraz posunął ku krzesłu i usiadł.

— Czem mogę służyć panu.... ojcaś pan nie zastał..... pewnie do niego w interesie....

— Nein — ja i nie całkiem do ojca w interesie, ja tak chciał parę słów grzecznych pomówić z panna Anetka. Ja panna Anetka bardzo lubi...

— Ależ proszę pana...

— Panna Anetka zawsze taki nie łaskaw na mnie, już ja wiem, ale nicz nie szkodzi, już panna Anetka przecie mnie polubić będzie, ja królewski beamte, mam pensya uczciwa — ja nie taki jak inny chłystek.

— Ależ ja nie powiadam tego, odpowiedziała Anna już obruszona, ale daj mi pan na zawsze pokój z temi oświadczynami.

— Immer so stolz, a ja przecie mówi. panna Anetka musi być moja, — ja panna Anetka kocham.

— Daruj pan, ale uwolń mnie od tego.... i od swych odwiedzin.

— Ja uwolnić! ja może natrętny dla panna Anetka — o teraz ja wiem, ja powiem, ja stał koło okno, ja widział, tego młody pan, on może lepiej się podoba panna Anetka, jak ja, on młody, on tak rozmawiać umie polsku, ale ja go nauczyć będę, ja mu pokażę....

Żywy rumieniec oblał lice Anny na te słowa, ona go pierwszy raz po długich latach widziała, ona i sama sobie nic przyznać czasu nie miała, ani rozważyć, a tu już i wymówka niespodziana. To też uniosła się i pełna powagi powstawszy rzekła:

— Proszę pana bardzo, mym gościom nie ubliżać, ten pan który przed panem tu był, to dawny ojca znajomy, i jako takiemu ubliżyć mu nie dam! — proszę sobie oszczędzić nadal swojej opieki i podobnych pogróżek.

— Ein Pollake, już niech panna Anetka gada co chce, ale jego woli odemnie! — ale ja go nauczę.

— Co! kogo pan chcesz uczyć, wrzasnął na to w tej chwili przybyły pan Tomasz, który dobrze podchmielony do domu wracał, — jak, komu chcesz to powiedzieć, panie Kolmayer....

— Sługa pana Tomasza, pan Tomasz zawsze w żartach, zawsze przy dobry humor....

— Co ci do mojego humoru, wiesz panie, że do mnie nie przystąp jakiem zły, daj mi spokój i ruszaj do stu djabłów....

— A zaraz tak strasznie, no dlaczego, to ja przyjaciel pana Tomasz, ja pana Tomasz bardzo szanuję!......

— Niech mię Bóg broni od takich przyjaciół, ruszaj pan pókiś zdrów i ja cierpliwy, — wiesz żem zły i ustąp się. Tu podniósł sękatą łaskę pan Tomasz, i na serjo zaczął wywijać.

— Nur langsam, panie Tomasz, ja zaraz idę, ja urzędnik królewski, ja nie chciał obrażać, a pan Tomasz zaraz taki ostry.... ja dobry przyjaciel....

— A ja przyjaciela niemca nie potrzebuję — ruszaj do stu katów — precz mi z oczu!... i zaperzony porwał Kolmayera za kołnierz i za drzwi wyrzucił. — Wyleciał jak z procy niemczysko i tylko z ulicy krzyk dolatywał: Już ja was nauczy, verfluchte Polaken, — ciebie panie Tomasz, i tego drugi chłystek. (d. c. n.)

Przegląd stowarzyszeń rękodzielniczych.

Stowarzyszenie zaliczkowe. Mamy przed sobą statut Stowarzyszenia zaliczkowego lwowskiej młodzieży czeladniczej. Statut ten ułożony przez p. Tadeusza Romanowicza został przedyskutowany i przyjęty na kilku zebraniach młodzieży czeladniczej, w lokalnościach Stowarzyszenia Gwiazdy, i niezadługo zostanie podany do namiestnictwa. Tak więc spodziewać się należy że najdalej koło 15 lutego 1869. Stowarzyszenie to będzie mogło wejść w życie. Celem Stowarzyszenia jest udzielanie członkom pożyczek oprocentowanych, a w nadzwyczajnych razach n. p. podczas długiej słabości zapomóg. W Anglii, Francyi i Niemczech każde małe miasteczko ma podobne stowarzyszenie, w Czechach w przeciągu jednego roku założono 102 takich stowarzyszeń a wszystkie coraz bardziej się rozszerzają, coraz więcej członków liczą. Jest to najlepszy dowód o ile stowarzyszenia takie są po

trzebne dla klas pracujących. Miejmy nadzieję, że w ślady za Lwowem, pójdzie młodzież rzemieslnicza i w innych miastach Galicyi.

W ogóle przyznać należy, że młodzież rzemieślnicza lwowska w ostatnich czasach wszystkiemi siłami jęła się do pracy w celu podniesienia moralnie i materyalnie stanu rękodzielniczego i wywalczenia dlań takiego stanowiska, jakie ma na zachodzie w Anglii i we Francyi.

Żadne lwowskie stowarzyszenie nie rozwija się tak pięknie jak Gwiazda stowarzyszenia czeladzi ku rozrywce i nauce. Zaledwie minęło kilka miesięcy od czasu zawiązania, a liczy ono już około 700 członków, i jest wielka nadzieja, że jeszcze się zwiększy liczba. W następnym numerze pomówimy obszerniej o Gwiaździe i o niektórych zmianach, któreby należało przedsięwziąć w statucie.

— W niedzielę 17. Stycznia 1869. o godzinie 3. po południu odbędzie się w sali rady miejskiej w Drohobyczu, trzecie walne zgromadzenie **stowarzyszenia rzemieślników w Drohobyczu.**

Na porządku dziennym: 1. Odczytanie spisu czynności drugiego walnego zgromadzenia i podpisanie tegoż. 2. Sprawozdanie sekretarza z dotychczasowych czynności dyrekcyi, wydziału i komisyi kontroli. 3. Sprawozdanie ze stanu osobowego i pieniężnego stowarzyszenia. 4. Wnioski dyrekcyi o zmianę niektórych ustępów statutu z 17. Lipca 1867.

Nasze stowarzyszenie od 15. marca b. r. swe czynności rozpoczęło i liczy 89 towarzyszy i 1.500 złr majątku, a gdyby nie niektórzy, — politycy wysocy, — toby znacznie było silniejsze i majętniejsze, co niezawodnie choć później nastąpi. Z dyrekcyi. Seweryn Tyc, sekretarz.

Z miasta Środy w Wielkiem Księstwie Poznańskiem piszą do dziennika poznańskiego: Od roku 1862 istnieje w Środzie towarzystwo rzemieślnicze pod opieką świętego Józefa. Celem tego stowarzyszenia młodzieży rzemieślniczej jest wspólna nauka i zabawa. W każdą niedzielę i święto schodzili się członkowie stowarzyszenia do przeznaczonego na ten cel lokalu, gdzie wykładano historyę i geografią mniej zaś wykształconych uczono rachunków i ortografii. Towarzystwo to jak na początek bardzo pięknie się rozwijało, a nawet otrzymawszy od jednego z okolicznych obywateli bezprocentowa pożyczkę, było w stanie zakupić w głównej części miasta dwa zabudowania i takowe odpowiednio urządzić.

Liczyło ono około 90 członków. Kiedy jednak w roku 1863 w Kongresówce przyszło do walki z Moskwą, a uwaga młodzieży na inny punkt zwrócona była zapomniano prawie o istnieniu tego stowarzyszenia. Wnet liczba członków spadła do kilkunastu. Smutny ten stan stowarzyszenia trwał aż do roku 1866. W tym roku wzięto się do reorganizacyi stowarzyszenia. Najpierw założono Stowarzyszenie zaliczkowe, a zarazem otworzono przy niem kasę oszczędności, do której każdy czeladnik mógł zaoszczędzone pieniądze składać. Reformy te bardzo dobrze oddziaływały na wzrost towarzystwa. W roku 1867. przystąpiło 53 nowych członków, a ogólna suma rozpożyczonych pieniędzy wynosiła 2.000 talarów.

Chcąc rozszerzyć zakres działania towarzystwa i nie ograniczać się już na przyjmowaniu członków zamieszkałych w samem mieście Środzie, ale przeciwnie otworzyć wolny przystęp do stowarzyszenia wszystkim mieszkańcom powiatu, umyślił zarząd zmienić odpowiednio statuta. Zmiana ta niezostała jeszcze przeprowadzoną; cała sprawa jest właśnie w toku. Spodziewać się należy że proponowana zmiana przyczyni się do jeszcze większego rozrostu stowarzyszenia.

Najnowsze odkrycia i wynalazki.

Dla tokarzy. Na wystawie paryskiej zwracała powszechną uwagę znawców cygarniczka bursztynowa, mająca formę trąbki pocztarskiej. Dotychczas bowiem nie umiano bursztynu zginać. Uskutecznić to można w następujący sposób: Prosty kawałek bursztynu prześwidruje się w skróś i wrzuca do kipiącej wody, potem można już przeginając powoli i ostrożnie nadać mu dowolny kształt.

Nowy sposób kucia koni. Francuz Charliez wynalazł nowy jak gazety zapewniają bardzo praktyczny sposób kucia koni. Zamiast dotąd używanej grubej i ciężkiej podkowy używa Charliez, wązkiego obręcza żelaznego, który przymocowuje na dole koło kopyta, a to na zewnątrz. Tym sposobem kopyto końskie zabezpieczone jest od uszkodzenia a mimo tego ta część rogu, którą koń stąpa, jest zupełnie wolną. Nowa ta podkowa jest o dwie trzecie części lekszą od dawnej, co dla konia wielką jest ulgą, a przytem daleko więcej ochrania nogę.

Zadaniem dobrego kucia koni jest jak mówi Charliez, ochronić róg kopyta od pękania, dlatego otacza on kopyta sztucznym obręczem, który jest daleko mocniejszy niżeli naturalna część rogu.

Obręcz ten wcale nie ściska, ani nie nadweręża nogi i tem właśnie różni się od zwykłej podkowy.

Koszta kucia koni na jeden lub drugi sposób, są zupełnie równe. Wprawdzie bowiem przy nowym sposobie kucia koni wychodzi o połowę mniej materyału, ale za to materyał musi być w najlepszym gatunku. Najlepszym dowodem praktyczności tego wynalazku jest szybkie jego rozprzestrzenienie. Stowarzyszenie fiakrów paryzkich, kupiło sobie od wynalazcy pozwolenie kucia koni na ten nowy sposób.

Dotychczas okuto już podług tego systemu 300 koni tego stowarzyszenia. Oprócz tego otrzymało takie same obrączkowe podkowy przeszło 1000 koni wożących omnibusy.

(*Polyt, Journ.*)

Kronika miejscowa i zagraniczna.

Wybuchy wulkanów włoskich Wezuwiusza i Etny ponowiły się tego roku z nadzwyczajną gwałtownością. Wspaniały to ale zarazem i przerażający widok przedstawiał ostatni wybuch Wezuwiusza. W dzień cała góra okryta była czarnym dymem, w nocy zaś widać było daleko płomienie buchające z wnętrza. Podczas ostatniego wybuchu Wezewiusz wyrzucał ogromną ilość lawy. Trudno sobie wystawić straszną siłę zniszczenia, jaką posiada lawa. Powodzi lub pożarowi można stawiać choć jaką taką zaporę; walka z lawą jest niemożliwa, niszczy ona wszystko nie zostawiając najmniejszego śladu. Płynie jakby rzeka ognista przeszło sto łokci szeroka, a dziesięć do piętnaście wysoka (czyli raczej gruba). Drzewa, chaty, ba nawet kilkopiętrowe, silnie murowane domy nikną w jednej chwili. W całej okolicy wybuch ten straszne zrządził spustoszenia, zwłaszcza, że lawa stygnąc kamienieje, a na miejscach zalanych przez długi czas trawa nie porasta.

Odpowiedzialny redaktor, Piotr Zbrożek. Wydawca Alfred Młocki. Czcionkami Dra H. Jasieńskiego.